
W którym momencie
twarz
motyleje
w wiek
w schyłkowość?

Czy przez przebyte przeziębienia
niedopalone papierosy
niezawiązane szaliki
zgubione portfele?
Czy jednak
przez nieodżałowane romanse
wyptakane do białości oczy
palące od krzyku gardła
złamane pióra?

Dziś spotkałam w odbiciu okna
Twarz –
zdawało się, że zużyła wszystkie
kredki w piórniku
kapelusze
chusteczki
parasole.
A jednak usta rozplecione były
jak przy pierwszym śniegu.

Minęły dwie zimy –
jedna biała
i jedna zielona.
Obydwie jednak mroźne,
iluzorycznie odmienne.

Białej zimy zapuściłam się w śniegi
hucznej, przelotnej miłości.
Ciało wypowiedało się za mnie,
śniegi twardniały pod moją stopą.
Zielonej zimy,
owianej śnieżycą pylącej trawy,
kolekcjonowałam kamienie oderwane od gruzów wyobraźni.

Czego wymagać od słów,
gdy składa je potrzeba zadośćuczynienia?
Co będzie, gdy ziemia wznowi swój obrót?

Chciałabym, by noc trwała nieustannie,
gdy poddaję się nieomyłnej intuicji
ruchów mego ciała.
Gdy me czoło,
rozognione światłem odbitym,
wisi w konkurencyjnej świadomości
nad kartką
zapisaną lub nie.

Nie wiem, czy winić mam
oczy, głowę, czoło
za zapuszczenie trawę i mleciami
połaci mojej pamięci,
opuszczającej mnie regularnie
co stronę
zapisaną lub nie.

I gdy gaśnie archetypiczna jasność,
ustępując horyzontowi nocy –
oddycham z ulgą,
bo widzę
zawieszony w bezdechu
cudze myśli i czyny.
Czuję się jakby mniej winna
swych stron
zapisanych lub nie.

Dziś, po wielu latach,
usłyszałam słowo
przerzutka
i całym parnym naporem
powietrza zamkniętego
w butelce wspomnień
doświadczyłam
Pierwszego Wcielenia.

Uśpiony dźwięk słowa
przypomniał mi,
jak pachną dłonie po dniu w szkole,
jaki dźwięk wydaje napędzany krzykiem wiatr,
co jada się o czternastej trzydzieści.

I poczułam się tak bardzo oszukana,
przechytrzona przez czas,
który z indywidualnym wyróżnieniem
przeniósł mnie do miejsca
zapomnianych słów.

Gordon Parks

Patrzę na fotografię zakleszczoną pod szybą
i jakbym siebie widziała w kadrze
płaczącą,
rozbijającą skokiem kałużę,
szeroko uśmiechniętą.

Fotografia pod opryskiem lamp
czyni ze mnie przekrój
samej siebie.
W różnych kompozycjach
wyglądam tak samo,
lecz wystarczy krok
w lewo,
w prawo,
by zniknąć z pola widzenia
koloru wykluczenia.

Czekają mnie niezliczone ujęcia
od których nie będzie ucieczki
lub
ślepy Homer.

Każdy kolejny wiersz
cieszy
jak ponownie spotkana
Osoba
w wielkim mieście.

Zbieram w sobie
strofy,
kolekcjonuję w oczach
Człowieka.

Bojąc się nowości,
niczym plebejusz
szukam
konwencji
znanych twarzy.

Moje zbieractwo
to sposób
na ucieczkę
przed śmiercią.

Akademizm

Chciałam napisać o Rafaelu,
który nie miał szczęścia studiować na Akademii.
Nie umiem pisać wierszy.

Niewystawialna jest dla mnie
recydywa przenoszenia *disegno*
z powłoki mieszaniny szmat
na stały grunt płótna.
Zdaje się, że nie znam się na malarstwie –
wizji świata
brodzącej w przeszłości,
moralizującej sentencji,
niejednoznacznym erotyzmie.

Jestem niemą poezją
mitem wykształcenia
pospolitą historią
izolacją od tradycji
tendencją w podartej tunice.

Po dniu tak ciemnym
po dniu bez chleba
zatrzymaliśmy nasze dłonie
na minutę.
Na minutę zatrzymaliśmy usta i ruchy.
Na ciemną minutę
ukryliśmy nasze żytnie bochenki.

Po minucie pękły nasze ciemne ciała.
Po minucie uwolniono
dłonie od ciała
usta od skóry.

W ciemnych godzinach
duszami opuściliśmy minutę.
Bez chleba.
Bez dłoni.
Bez ruchów.



Mirosław Jurczuk, *Makieta 11*